

Śmierć frajerom

MARIO PUZO



ALBATROS

Tytuł oryginału:
OMERTA

Copyright © Mario Puzo 1978
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Robert Waliś 2024

Redakcja: Piotr Królak

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Meszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: Lilio07/Shutterstock (*kapelusze*); Sensvector/Shutterstock
(*żetony*); tanahairstudio/Shutterstock (*dziury po kulach*);

Oksana Mizina/Shutterstock (*plama krwi*); best_vector/Shutterstock (*kolory kart*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Posłuchajcie. Powiem wam prawdę o życiu mężczyzny. Powiem wam prawdę o jego miłości do kobiet. O tym, że nigdy nie odczuwa do nich nienawiści. Już uważacie, że zboczyłem z tropu. Ale nie odchodźcie. Naprawdę... jestem nie lada magikiem.

Czy wierzycie, że mężczyzna może prawdziwie kochać kobietę i stale ją zdradzać? Nie tylko fizycznie, lecz także w swoim umyśle, w samej „poezji duszy”. To niełatwe, mężczyźni jednak często to robią.

Chcecie się dowiedzieć, jak kobiety mogą was kochać, rozmyślnie karmić miłością i zatruwać wam nią ciało oraz umysł, by was niszczyć? A potem pod wpływem namiętności postanawiać, że nie będą was dłużej kochały? A zarazem otumaniać was rozkoszą idioty? To bardzo łatwe.

Ale nie uciekajcie. To nie jest historia miłosna.

Sprawię, że poczujecie bolesne piękno dziecka, zwierzęcą chuć nastoletniego chłopaka, tęskne samobójcze rozchwianie młodej kobiety. A potem (to najtrudniejsze) pokażę wam, jak czas sprawia, że mężczyzna i kobieta zataczają koło i wymieniają się ciałami oraz duszami.

Oczywiście jest także PRAWDZIWA MIŁOŚĆ. Nie odchodźcie! Prawdziwa miłość istnieje, a przynajmniej ja powołam ją do istnienia. Nie na darmo nazywam siebie magikiem. Czy jest warta takich kosztów? A co z cielesną wiernością? Czy się sprawdza? Czy na tym polega

miłość? Czy to w ogóle ludzkie – ta perwersyjna chęć bycia tylko z jedną osobą? A jeśli to się nie sprawdzi, czy i tak dostaniecie nagrodę za swoje wysiłki? Czy to może działać w obie strony? Oczywiście, że nie, prosta sprawa. A jednak...

Życie to farsa i nie ma niczego zabawniejszego niż miłość podróŜująca w czasie. Ale prawdziwy magik potrafi jednocześnie rozbawić swoją widownię i doprowadzić ją do łez. Śmierć to inna historia. Nigdy nie będę z niej żartował. Moja władza nie sięga tak daleko.

Jestem wyczulony na śmierć. Nigdy mnie nie zwiedzie. Od razu ją zauwaŜam. Uwielbia przychodzić w przebraniu wiejskiego prostaczka, w formie komicznie małej kurczki, która gwałtownie się rozrasta, ciemnego włochatego znamienia zakorzenionego w samej kości lub uroczego rumieńca gorączki. A potem szczyrzy zęby w gołej czaszce i zaskakuje ofiarę. Ale nie mnie. Ja na nią czekam. Przygotowuję się.

W porównaniu ze śmiercią miłość jest żmudna i dziecinna, mimo to mężczyźni bardziej w nią wierzą. Co innego kobiety. One kryją potężny sekret. Nigdy nie traktowały miłości poważnie.

Jeszcze nie odchodźcie. Powtarzam: to nie jest opowieść o miłości. Zapomnijcie o niej. Pokażę wam wszystkie oblicza władzy. Najpierw zobaczycie życie zmagającego się z losem biednego pisarza. Utalentowanego wraŜliwca. MoŜe nawet geniusza. Pokażę wam, jak ten artysta dostaje po dupie za swoją sztukę, a wy zrozumiecie, dlaczego całkowicie na to zasługuje. Następnie ukaŜę go jako cwane go przestępcę, który doskonale się bawi. Cóż to za radość dla prawdziwego artysty, gdy staje się oszustem. Jego natura wreszcie moŜe wyjść na jaw. Koniec plecenia bzdur o honorze. Sukinsyn jest krętaczem. Hochsztaplerem. Wróg społeczny zostaje zdemaskowany i juŜ nie kryje się za swoją kurewską sztuką. Co za ulga. Co za radość. Czysta rozkosz. Ale w końcu znów stanie się uczciwym człowiekiem. Bycie oszustem zbyt wiele kosztuje.

To pomoŜe wam zaakceptować społeczeństwo i przebaczyć bliŹniemu. Nikt nie powinien być oszustem, chyba Ŝe naprawdę potrzebuje pieniędzy.

Potem przejdziemy do jednej z najbardziej niesamowitych opowieści o sukcesie w historii literatury. Oto intymne życie gigantów kultury. Zwłaszcza jednego szalonego drania. Świat ludzi z klasą. Poznamy zatem światy biednego geniusza, oszusta i pisarzy z klasą. A wszystko to podszyte mnóstwem seksu i kilkoma skomplikowanymi ideami, których nikt nie będzie wam narzucał i które być może uznacie za ciekawe. Wreszcie czeka nas hollywoodzki finał, w którym nasz bohater zgarnie nagrody, pieniądze, sławę, piękne kobiety. A potem... nie odchodźcie... nie odchodźcie... to wszystko obróci się w popiół.

To za mało? Już to wszystko słyszeliście? Ale pamiętajcie, że jestem magikiem. Potrafię powołać tych wszystkich ludzi do istnienia. Pokazać wam, co naprawdę myślą i czują. Obiecuję, że będziecie z ich powodu płakać. A może tylko się zaśmiejecie. W każdym razie czeka was mnóstwo zabawy. No i nauczycie się czegoś o życiu. Co w niczym wam nie pomoże.

Ach, wiem, co sobie myślicie: ten krętacz chce nas omamić, żebyśmy czytali dalej. Ale zaczekajcie, zamierzam tylko opowiedzieć historię. Cóż wam szkodzi posłuchać? Nawet jeśli ja traktuję ją poważnie, wy nie musicie. Po prostu dobrze się bawcie.

Chcę wam coś opowiedzieć, nie mam żadnej innej słabości. Nie pożądam sukcesu, sławy ani pieniędzy. Ale to nic nadzwyczajnego, większość mężczyzn i kobiet też ich nie pożąda. Jeszcze lepiej: nie chcę miłości. Kiedy byłem młody, niektóre kobiety mówiły mi, że kochają mnie za moje długie rzęsy. Godziłem się z tym. Później twierdziły, że kochają mój intelekt. Następnie władzę i pieniądze. Potem talent. Wreszcie mój umysł... to takie głębokie. Poradzę sobie z tym wszystkim. Boję się jedynie kobiety, która kocha mnie za to, jaki jestem. Mam wobec niej plany. Przygotowałem trucizny, sztylety i ciemne groby w jaskiniach, gdzie ukryję jej głowę. Ona nie może pozostać przy życiu. Zwłaszcza jeśli jest wierna, nigdy nie kłamie i zawsze stawia mnie na pierwszym miejscu.

W tej książce dużo piszę o miłości, ale nie o tym jest ta opowieść. To historia wojenna. O starej wojnie między mężczyznami, których

łączy prawdziwa przyjaźń. A także o wielkiej „nowej” wojnie pomiędzy mężczyznami i kobietami. Owszem, to nic świeżego, lecz teraz rozgrywa się na naszych oczach. Ruch wyzwolenia kobiet uważa, że robi coś nowego, ale ich wojsko po prostu przestało działać w ukryciu. Słodkie kobiety od zawsze wciągają mężczyzn w pułapki: już nad kołyską, potem w kuchni i sypialni. A także nad grobami ich dzieci, gdzie najłatwiej ignorować błagania o litość.

Pewnie pomyślicie, że mam żal do kobiet, lecz nigdy nie czułem do nich nienawiści. Zresztą zobaczycie, że okazały się lepszymi ludźmi od mężczyzn. Ale prawdą jest, że tylko kobietom udawało się mnie unieszczęśliwiać, już od kołyski. Większość mężczyzn może powiedzieć to samo. Nie da się nic na to poradzić.

Ależ wyznaczyłem cel. Wiem... wiem... trudno się oprzeć. Bądźcie jednak ostrożni. Jestem podstępny gawędziarzem, a nie jednym z waszych wrażliwych artystów. Przygotowałem się. Wciąż mam w zanadrzu kilka niespodzianek.

Dosyć tego. Zabieram się do pracy. Pozwólcie mi zacząć i skończyć.

Rozdział 2

Wnajszczęśliwszym dniu swojego życia Jordan Hawley zdradził trzech najlepszych przyjaciół. Ale na razie, niczego nieświadomy, krążył pośród stołów do gry w kości w ogromnym kasynie w hotelu Xanadu, zastanawiając się, w co powinien zagrać. Wciąż było wczesne popołudnie i był do przodu o dziesięć tysięcy dolarów, ale znudziły mu się połyskujące czerwone kości sunące po zielonym filcu.

Oddalił się od stołów, krocząc po miękkiej fioletowej wykładzinie, i ruszył w stronę syczącego koła ruletki, ślicznie ozdobionego czerwonymi i czarnymi cyframi oraz morderczymi zielonymi polami z zerem i podwójnym zerem. Kilka razy obstawił lekkomyślnie, przegrał i przeniósł się do stołu do blackjacka.

Niewielkie stoły w kształcie podkowy ustawiono w dwóch rzędach. Szedł między nimi jak więzień zmuszony do pokonania ścieżki zdrowia. Po obu stronach błyskały niebieskie rewersy kart. Bezpiecznie dotarł do końca, do potężnych oszklonych drzwi, które prowadziły na ulicę Las Vegas. Widział stąd Strip, której strzegły luksusowe hotele.

W prażącym słońcu Nevady migotało kilkanaście takich Xanadu, upstrzonych neonami o mocy milionów watów. Miał wrażenie, że budynki stapiają się ze sobą w stalową złotą mgiełkę, miraż, którego można dosięgnąć. Jordan Hawley był uwięziony w klimatyzowanym kasynie ze swoimi wygranymi. Byłoby szaleństwem wyjść na zewnątrz, gdzie czyhały na niego kolejne kasyna, a w nich nieznanym

los. Tutaj był zwycięzcą i wkrótce miał się spotkać z przyjaciółmi. Tutaj mógł się chronić przed palącą żołącią pustyni.

Odrzucił się od szklanych drzwi i usiadł przy najbliższym stole do blackjacka. W jego dłoniach grzechotały studolarowe żetony, ma-lutkie rozżarzone słońca. Patrzył, jak krupier wysuwa świeżo potaso-wane karty z podłużnej drewnianej skrzynki zwanej butem.

Jordan postawił dużo żetonów na dwóch niewielkich łukach, by rozegrać dwa rozdania. Dopisało mu szczęście. Grał, dopóki w bucie nie skończyły się karty. Rozdający często zaliczał furę, a kiedy zabrał się do tasowania kart, Jordan ruszył dalej. Kieszenie miał wypchane żeto-nami, ale to mu nie przeszkadzało, ponieważ włożył błękitny sportowy garnitur „zwycięzcy z Vegas” od Sy Devore’a. Specjalnie skrojony, miał karmazynowe wykończenia i zapinane na suwak kieszenie o optymi-stycznie dużej pojemności. Pod połami marynarki kryły się zapinane skrytki, na tyle głębokie, by żaden kieszonkowiec się do nich nie do-brał. Wygrane Jordana były bezpieczne i miał miejsce na znacznie wię-ciej. Jeszcze nikt nie wypełnił po brzegi kieszeni takiej marynarki.

Kasyno, oświetlone olbrzymimi żyrandolami, wypełniała niebie-skawa mgielka, bo blask neonów odbijał się od fioletowej wykładziny. Jordan wyszedł z tego światła do zaciemnionego niskiego baru z nie-wielkim podestem dla muzyków. Siedząc przy stoliku, mógł obserwo-wać kasyno jak widz patrzący na oświetloną scenę.

Zahipnotyzowany, wpatrywał się w popołudniowych graczy, któ-rzy sprawnie krążyli między stołami zgodnie z wyszukaną choreografią. Niczym tęcza na bezchmurnym niebie, koło ruletki migotało czerw-onymi i czarnymi numerami dopasowanymi do wzorów na stole. Karty o niebiesko-białym rewersie ślizgały się po zielonym filcu. Czerwone kości z białymi kropkami latały nad stołami w kształcie wielorybów. Gdzieś w oddali, za rzędami stołów do blackjacka, krupierzy kończący zmianę wysoko unosili ręce, by pokazać, że nie wynoszą żetonów.

Na scenie kasyna pojawiali się kolejni aktorzy: wyznawcy słoń-ca, którzy nadciągali znad odkrytego basenu, wielbiciele tenisa i gol-fa, hotelowi goście powracający po drzemce lub darmowych bądź

płatnych miłosnych uciechach w tysiącach pokoi. Jordan zauważył kolejną marynarkę „zwycięzcy”. Należała do Merlyna, zwanego Dzieciakiem. Merlyn zachwiał się, mijając ruletkę, która była jego słabością, chociaż rzadko grywał, ponieważ boleśnie zdawał sobie sprawę z pięcioprocentowego zysku kasyna z każdego zakładu. Jordan, skryty w ciemności, pomachał mu ręką ozdobioną karmazynowym wykończeniem i Merlyn podjął trudną wędrówkę, zupełnie jakby kroczył przez ogień, aż wreszcie zszedł z rozświetlonej sceny kasyna i usiadł przy stoliku. Jego zapinane kieszenie nie były pękate od żetonów, nie miał ich także w dłoniach.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, czując się swobodnie w swoim towarzystwie. W błękitno-karmazynowej marynarce Merlyn wyglądał jak krępy sportowiec. Był młodszy od Jordana o co najmniej dziesięć lat i miał kruczoczarne włosy. Sprawiał także wrażenie radośniejszego i bardziej zmotywowanego do czekającej ich walki z losem, do nocy hazardu.

Potem zobaczyli, jak w przeciwległym rogu kasyna, gdzie stały stoły do bakarata, Cully Cross i Diane przekraczają elegancką szarą barierkę i kierują się w ich stronę. Cully także miał na sobie marynarkę „zwycięzcy z Vegas”. Diane była ubrana w przewiewną białą letnią sukienkę z dużym dekoltem, który miała przypudrowany na perłowo. Gdy Merlyn im pomachał, pewnym krokiem przeszli przez kasyno. Kiedy usiedli przy stoliku, Jordan zamówił drinki. Wiedział, na co mają ochotę.

Cully zauważył pękate kieszenie Jordana.

– Ejże, pofarciło ci się bez nas?

Jordan się uśmiechnął.

– Troszeczkę.

Popatrzyli na niego z zaciekawieniem, gdy zapłacił za drinki i w ramach napiwku wręczył kelnerce czerwony pięciodolarowy żeton. Dostrzegł ich spojrzenia. Nie wiedział, dlaczego tak dziwnie mu się przyglądają. Jordan był w Vegas od trzech tygodni i straszliwie się w tym czasie zmienił. Zrzucił dziewięć kilogramów. Jego jasnoblond

włosy urosły i posiwiały. Twarz, choć wciąż przystojna, sprawiała wrażenie wyniszczonej, a skóra przybrała szarawy odcień. Wyglądał na wyczerpanego. Ale nie zdawał sobie z tego sprawy, czuł się dobrze. Niewinnie rozmyślał o tej trójce ludzi, których poznał przed trzema tygodniami i którzy stali się jego najlepszymi przyjaciółmi.

Najbardziej lubił Dzieciaka. Merlyn chlubił się tym, że jest beznamiętnym hazardzistą. Starał się nigdy nie okazywać emocji, ani po zwycięstwie, ani po porażce, i zazwyczaj mu się udawało, chociaż każda wyjątkowo kiepska passa wywoływała na jego twarzy wyraz osłupienia, który Jordan uwielbiał.

Merlyn prawie się nie odzywał, tylko wszystkich obserwował. Jordan wiedział, że śledzi każdy jego ruch i próbuje go rozszyfrować. To także go bawiło. Udało mu się zmylić Merlyna, który wypatrywał w jego zachowaniach drugiego dna i nie potrafił zaakceptować, że Jordan jest właśnie taki, na jakiego wygląda. Ale lubił spędzać czas z tą trójką. Łagodzili jego samotność, a jako że Merlyn przy stole do gry sprawiał wrażenie najbardziej żywiołowego i pełnego pasji, Cully ochrzcił go Dzieciakiem.

To Cully był najmłodszy z całego towarzystwa – miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat – ale, o dziwo, wyglądało na to, że stał się przywódcą ich grupy. Poznali się trzy tygodnie wcześniej właśnie w tym kasynie i łączyło ich tylko jedno: byli niepoprawnymi hazardzistami. Ich trzytygodniowa rozpusta pośród pustynnych piasków Nevady mogła uchodzić za ewenement, ponieważ kasyno już w ciągu kilku pierwszych dni powinno puścić ich z torbami.

Jordan wiedział, że pozostała dwójka, Cully „Licznik” Cross oraz Diane, również są go ciekawi, ale nie miał nic przeciwko temu. On sam nie był nimi szczególnie zainteresowany. Dzieciak sprawiał wrażenie zbyt młodego i inteligentnego, by tkwić w szponach nałogu, ale Jordan nigdy nie próbował zrozumieć jego motywacji. Naprawdę go nie obchodziły.

Cully na pierwszy rzut oka wydawał się łatwy do rozszyfrowania. Był klasycznym niepoprawnym hazardzistą o sporych umiejęt-

nościach. Potrafił liczyć karty przy stole do blackjacka, nawet gdy w bucie znajdowały się cztery talie. Był specjalistą od kalkulowania szans na wygraną, czego nie dało się powiedzieć o Dzieciaku. Jordan podchodził do gry ze spokojem i dystansem, Dzieciak ulegał emocjom, a Cully był zawodowcem. Ale Jordan nie miał co do siebie złudzeń. Obecnie zniżył się do poziomu i również stał się niepoprawnym hazardzistą. Człowiekiem, który gra dla samej gry i w końcu musi przegrać. Tak jak bohater, który musi polec na wojnie. Pokażcie mi hazardzistę, a ja pokażę wam przegranego, pokażcie mi bohatera, a ja pokażę wam trupa, pomyślał Jordan.

Wszyscy byli niemal splukani, a przynajmniej się do tego zbliżali, może poza Cullym. Ten był połączeniem alfonsa z domokrażcą. Ciągłe wymyślanie nowych sztuczek, by zyskać przewagę nad kasynem. Czasami igrał z ogniem i przy stole do blackjacka nakłaniał krupiera, by ten sprzymierzył się z nim przeciwko bankowi.

Dziewczyna, Diane, nie była jedną z nich. Pracowała jako wabik dla kasyna i właśnie na chwilę odeszła od stołu do bakarata. Spędzała z nimi czas, ponieważ byli jedynymi mężczyznami w Vegas, których choć trochę obchodziła.

Jako wabik grała pieniędzmi kasyna i nigdy sama nie przegrywała ani nie wygrywała. Jej los nie zależał od kaprysów fortuny, ale od stałej tygodniowej pensji. Do bakarata siadała tylko w mniej ruchliwych godzinach, ponieważ hazardziści nie lubią pustych stołów. Miała być lepem na muchy i dlatego była ubrana tak wyzywająco. Miała długie czarne włosy, których używała jak bicz, zmysłowe pełne usta, długie nogi i niemal idealną figurę. Jej piersi nie były duże, ale do niej pasowały. Kierownik odpowiedzialny za stoły do bakarata dawał prywatny numer Diane najważniejszym graczom i czasem szeptał jej do ucha, że któryś z nich chciałby ją zaprosić do pokoju. Mogła odmówić, ale korzystała z tej możliwości ostrożnie. Kiedy się zgadzała, nie otrzymywała pieniędzy bezpośrednio od klienta; kierownik wręczał jej specjalny bon na pięćdziesiąt albo sto dolarów, który mogła spieniężyć w kasie kasyna. Nienawidziła tego robić, więc płaciła innym

dziewczynom po pięć dolarów, by ją wyręczały. Kiedy Cully się o tym dowiedział, zaraz się z nią zaprzyjaźnił. Lubił delikatne kobiety, którymi mógł manipulować.

Jordan poprosił kelnerkę o kolejne drinki. Był odprężony. Uśmiech szczęścia o tak wczesnej porze dodawał mu animuszu. Zupełnie jakby jakiś dziwaczny bóg okazał mu przychyłność, uznał go za szlachetnego i nagrodził za ofiary, jakie Jordan złożył światu, który pozostawił za sobą. Poza tym czuł braterską więź łączącą go z Cullym i Merlynem.

Często jadali razem śniadanie i zawsze udawali się na popołudniowego drinka przed rzuceniem się w wir hazardu na całą noc. Czasami szli coś przegryźć o północy, by uczcić wygraną, a ten, komu dopisało większe szczęście, płacił rachunek i kupował dla wszystkich losy na loterię. W ciągu tych trzech tygodni zaprzyjaźnili się, chociaż tak naprawdę nic ich nie łączyło i ich przyjaźń musiała umrzeć wraz z chęcią do gry. Ale na razie, dopóki nie zbankrutowali, czuli wobec siebie osobliwą sympatię. Po jednym z udanych dni Merlyn Dzieciak zabrał ich do hotelowego sklepu odzieżowego i kupił dla całej trójki błękitno-karmazynowe marynarki „zwycięzców z Vegas”. Tamtego dnia wszyscy trzej byli zwycięzcami i nadal nosili te stroje, jakby ich zdjęcie miało przynieść pecha.

Jordan poznał Diane w chwili jej największego upokorzenia, tego samego dnia, gdy po raz pierwszy spotkał Merlyna. Nazajutrz kupił jej kawę, kiedy miała jedną z przerw, i przez chwilę rozmawiali, ale prawie nie słuchał tego, co mówiła. Była urażona jego brakiem zainteresowania i do niczego między nimi nie doszło. Potem tego żałował, gdy leżał samotnie w swoim kunsztownie zdobionym pokoju i nie mógł zasnąć. Bezsennność dręczyła go każdej nocy. Próbował zażywać tabletki na sen, ale miał po nich koszmary.

*

Wkrótce na scenie miał się pojawić zespół jazzowy i sala się wypełniała. Jordan zauważył, jak popatrzyli na niego towarzysze, gdy dał kel-

nerce czerwony pięciodolarowy żeton. Uznali go za szczodrego, ale on po prostu nie miał ochoty się zastanawiać, jak wysoki powinien być napiwek. Bawiło go, jak bardzo zmieniały się jego zasady. Zawsze był skrupulatny i uczciwy, nigdy jednak nie grzeszył hojnością. Jego świat był kiedyś precyzyjnie wymierzony i opierał się na systemie nagród. Ale to podejście w końcu przestało się sprawdzać. Dziś nie mógł uwierzyć, że kierował się w życiu tak absurdalną logiką.

Zespół szeleścił w ciemności, zmierzając w stronę sceny. Jordan wiedział, że za chwilę zagłuszą wszystkie rozmowy, a to zawsze był sygnał, by na poważnie zabrać się do gry.

– Dzisiaj jest moja szczęśliwa noc – oznajmił Cully. – Wszystko, czego dotknie moja prawa ręka, zamienia się w złoto.

Jordan się uśmiechnął. Zawsze tak reagował na entuzjazm Cully'ego. Znał go tylko pod przydomkiem Licznik, na który ten zasłużył przy stołach do blackjacka. Lubił go, ponieważ facet ani na chwilę się nie zamykał, a jego gadanina rzadko wymagała odpowiedzi. To czyniło go niezbędną częścią grupy, ponieważ Jordan i Dzieciak mówili mało. Diane, która wabiła graczy do stołu do bakarata, często się uśmiechała, ale ona też prawie się nie odzywała.

Twarz Cully'ego, ciemna, delikatna, o regularnych rysach, promieniowała pewnością siebie.

– Będę trzymał kości przez godzinę – rzekł. – Wyrzucę setkę numerów, ale żadnej siódemki. Zobaczycie.

Zespół jazzowy zaintonował pierwsze dźwięki, jakby chciał potwierdzić te słowa.

Cully uwielbiał grę w kości, chociaż najlepiej radził sobie w blackjacku, bo potrafił liczyć karty. Jordan z kolei ubóstwiał bakarata, który dla niego był najbardziej mityczną i magiczną grą. Ale skoro Cully oznajmił, że jest niepokonany przy stole do kości, musieli do niego dołączyć i wykorzystać jego szczęście. Byli jego przyjaciółmi, nie mogli przynieść mu pecha. Wstali, by udać się do stołu razem z nim i dołączyć do zakładów, a Cully rozprostował prawą rękę, która kryła dziś w sobie magiczne zdolności.

Diane odezwała się po raz pierwszy tego wieczoru.

– Jordy miał dobrą passę w bakaracie. Może powinniście na niego postawić.

– Nie wyglądasz mi na szczęściarza – ocenił Merlyn.

Wspominanie o szczęściu gracza stanowiło pogwałcenie zasad. Mogli uderzyć do niego po pożyczkę albo przynieść mu pecha. Ale Diane znała Jordana i wiedziała, że nie obchodzą go przesady, którymi zazwyczaj przejmują się hazardziści.

Cully pokręcił głową.

– Mam przecucie. – Uniósł prawą rękę i udał, że potrząsa kośćmi.

Muzyka ryknęła i zagłuszyła ich rozmowę. Wypędziła ich z mrocznego schronienia na rozświetloną scenę kasyna. Zaroilo się tam od nowych graczy, ale potrafili płynnie się między nimi przemieszczać. Diane, której skończyła się przerwa na kawę, wróciła do bakarata, by dalej zajmować miejsce przy stole i stawiać pieniądze kasyna. Ale robiła to bez entuzjazmu. Jako wabik, który nie ryzykował własnych środków, była nietykalna. Dlatego chodziła wolniej od pozostałych.

Wyglądali jak trzej muszkietierowie w błękitno-karmazynowych marynarkach. Cully szedł na przedzie, promieniował entuzjazmem i pewnością siebie. Merlyn niemal dorównywał mu pasją, krew hazardzisty szybciej krążyła mu w żyłach. Jordan poruszał się wolniej, jakby ociężały za sprawą olbrzymiej wygranej. Cully próbował wywęszyć najlepszy stół, czyli taki, na którym w banku było jak najmniej żetonów. W końcu zajęli wolne miejsce i postavili niewiele, a Cully czule ujął w dłoń czerwone kostki i przygotował się do pierwszego rzutu.

Dzieciak postawił dwadzieścia dolarów. Jordan dwieście. Cully Licznik pięćdziesiąt. Wyrzucił szóstkę. Gracze ponowili zakłady i wykupili wszystkie numery. Cully z pasją i pewnością siebie wziął do ręki kości i mocno cisnął je na przeciwległy koniec stołu. Wytrzeszczyli oczy z niedowierzaniem. To była prawdziwa katastrofa. Siódemka. Odpadł z gry i nawet nie mógł wykonać kolejnego rzutu. Dzieciak przegrał sto czterdzieści dolarów, a Cully trzy i pół tysiąca. Jordan wtopił czterysta.

Cully wymamrotał coś pod nosem i odszedł od stołu. Wstrząśnięty, postanowił bardzo ostrożnie zagrać w blackjacka. Musiał liczyć wszystkie karty z buta, by zyskać przewagę nad krupierem. Czasem ta metoda działała, ale była bardzo żmudna. Niekiedy udawało mu się zapamiętać wszystkie karty i ustalić, co pozostało w bucie, a wtedy zyskiwał dziesięcioprocentową przewagę nad krupierem i stawiał stertę żetonów. Ale nawet w takim wypadku zdarzało mu się pechowo przegrać. Wtedy zaczynał liczyć karty z kolejnego buta. Skoro jego fantastyczna prawa ręka zawiodła, pozostały mu marne grosze. Czekala go ciężka noc. Musiał grać bardzo sprytnie i dodatkowo mieć nadzieję, że nie spotka go pech.

Merlyn Dzieciak także się oddalił. On również był splekany i brakowało mu umiejętności, by się odegrać. Musiał polegać na szczęściu.

Jordan krążył po sali w pojedynkę. Uwielbiał uczucie odosobnienia w tłumie oraz gwar kasyna. Był sam, ale nie czuł się osamotniony. Zaprzyjaźniał się z ludźmi na godzinę, by nigdy więcej ich nie spotkać. Rozkoszował się grzechem kości.

Wędrował między rzędami stołów w kształcie podkowy, przy których grano w blackjacka. Wsłuchiwał się w odgłos rozdawanych kart, próbując wykryć oszustwo. Cully opowiedział im o pewnej sztuczce. Nieuczciwego krupiera o zręcznych dłoniach nie sposób zdemaskować, ale jeśli wyteży się słuch, można wychwycić delikatny szelest, który świadczy o tym, że rozdał drugą kartę z talii. Ponieważ wierzchnia karta musiała być korzystna dla kasyna.

Ludzie ustawiali się w długiej kolejce do wieczornego występu, chociaż była dopiero dziewiętnasta. W kasynie niewiele się działo. Żadnych dużych zakładów. Żadnych spektakularnych wygranych. Jordan z namysłem obracał w dłoni czarne żetony. W końcu podszedł do niemal pustego stołu i wziął do ręki połyskujące czerwone kości.

Jordan rozpiął zewnętrzną kieszeń sportowej marynarki i wysypał na stół stertę czarnych studolarowych żetonów. Postawił dwieście dolarów, potem ponowił zakład i wykupił wszystkie numery za pięćset dolarów każdy. Trzymał kości przez niemal godzinę. Po pierwszym kwadransie elektryczność bijąca z jego ręki obiegła całe kasyno i przy stole zgromadził się tłum. Jordan wciąż robił maksymalne, pięćsetdolarowe, zakłady i rzucał jak w transie. Przegnał ze swoich myśli widmo fatalnej siódemki. Zabronił jej się pojawić. Jego przegródka na żetony wypełniła się po brzegi. Kieszenie marynarki napęczniały. W końcu stracił koncentrację, nie mógł już dłużej bronić się przed zabójczą siódemką i kości przeszły w ręce kolejnego gracza. Konkurenci nagrodzili go wiwatami. Kierownik stołu wręczył mu metalowe stojaki na żetony, by mógł je zanieść do kasy. Gdy pojawili się Merlyn i Cully, Jordan powitał ich uśmiechem.

– Stawialiście na mnie? – spytał.

Cully pokręcił głową.

– Zdążyłem na ostatnie kilka minut – odparł. – Niewiele wygrałem.

Merlyn się roześmiał.

– Nie wierzyłem w twoje szczęście, więc trzymałem się na uboczu.

Merlyn i Cully odprowadzili Jordana do kasy. Ten nie mógł uwierzyć, gdy okazało się, że żetony na stojakach są warte pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A przecież wciąż miał pełne kieszenie.

Jego towarzysze oniemieli.

– Jordy, teraz powinienes wyjechać z miasta – rzekł Cully poważnie. – Jeśli zostaniesz, wszystko od ciebie odzyskają.

Jordan się roześmiał.

– Noc jest jeszcze młoda. – Rozbawiło go, że kumple tak się tym przejęli. Ale czuł skutki długiej gry. Był wyczerpany. – Idę do pokoju się zdrzemnąć. Później postawię wam sutą kolację, może około północy, dobrze?

Kasjer skończył liczyć żetony.

– Woli pan gotówkę czy czek? A może chciałby pan, byśmy przechowali pieniądze w sejfie?

– Weź czek – doradził Merlyn.

Cully zmarszczył czoło, czując ogarniającą go chciwość, ale potem zauważył, że ukryte wewnętrzne kieszenie Jordana wciąż są pękate od żetonów, i uśmiechnął się.

– Czek będzie bezpieczniejszy – zgodził się.

Cully i Merlyn stali po obu stronach Jordana, który zerkał w stronę migoczącej sali kasyna. W końcu kasjer przyniósł żółty czek o ząbkowanych brzegach.

Trzej mężczyźni odwrócili się jednocześnie, jakby wykonywali piruet, a ich marynarki rozbłysły karmazynem i błękitem w światłach tablicy z loterią keno. Merlyn i Cully ujęli Jordana pod ręce i pchnęli go w głąb jednego z odchodzących od głównej sali korytarzy, który prowadził do jego pokoju.

*

To był luksusowy, drogi i krzykliwy apartament. Wykwintne złote zasłony, olbrzymie łóżce ze srebrną narzutą. Idealne dla hazardzisty. Jordan wziął gorącą kąpiel i spróbował poczytać. Nie mógł zasnąć. Tęczowe neony Las Vegas rzuciły światło na ściany. Szczelniej zasunął zasłony, ale w głowie wciąż słyszał delikatny ryk, który rozlewał się po całym kasynie jak fala po dalekiej plaży. W końcu zgasił światło i położył się do łóżka. To była niezła sztuczka, ale jego mózg nie dał się przechytryć. Jordan nie mógł zasnąć.

Nagle poczuł znajomy lęk i strasliwą niepewność. Jeśli zaśnie, umrze. Rozpaczliwie pragnął zapaść w sen, ale nie potrafił. Za bardzo się bał, chociaż nie rozumiał, skąd ten strach się bierze.

Kusiło go, by znów sięgnąć po tabletki nasenne. Próbował już tego w tym miesiącu i zdołał zasnąć, ale dręczyły go nieznosne koszmary, a przez cały następny dzień był przygnębiony. Wolał być bez snu. Przynajmniej na razie.

Zapalił światło, wstał i ubrał się. Opróżnił wszystkie kieszenie i portfel. Rozsunął zewnętrzne i wewnętrzne kieszenie sportowej marynarki i potrząsnął nią, wysypując na jedwabną narzutę wszystkie czarne, zielone i czerwone żetony. Studolarowe banknoty spiętrzyły się na potężnej stercie, czarne i czerwone żetony utworzyły fantazyjne spirale i szachownice. Dla zabicia czasu zaczął liczyć pieniądze i segregować żetony. Zajęło mu to prawie godzinę.

Miał ponad pięć tysięcy dolarów w gotówce, a także osiem tysięcy w czarnych, sześć tysięcy w zielonych i niemal tysiąc w czerwonych żetonach, wartych odpowiednio sto, dwadzieścia pięć i pięć dolarów. Nie wierzył własnym oczom. Wyjął z portfela ząbkowany na brzegach czek wystawiony przez hotel Xanadu i przyjrzał się czarno-czerwonym literom oraz zielonym cyfrom. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Bacznie studiował czek. Wypatrzył na nim trzy różne podpisy. Zwrócił szczególną uwagę na jeden z nich, wyjątkowo duży i wyraźny. Alfred Gronevelt.

Wciąż był oszołomiony. Pamiętał, że kilka razy w ciągu dnia wymieniał żetony na gotówkę, ale nie zdawał sobie sprawy, że uzbierało się tego ponad pięć tysięcy. Poprawił się na łóżku i starannie poustawiane sterty żetonów się rozsypały.

Wreszcie był zadowolony. Cieszył się, że ma wystarczająco dużo pieniędzy, by zostać w Las Vegas, i nie musi jechać do Los Angeles, by rozpocząć nową pracę. Nową karierę, nowe życie, może z nową rodziną. Ponownie policzył pieniądze i dodał wartość czeku. Miał siedemdziesiąt jeden tysięcy dolarów. Mógł grać bez końca.

Zgaślił lampkę przy łóżku i leżał w ciemności pośród pieniędzy, które otaczały jego ciało i go dotykały. Próbował się przespać, by odpędzić grozę, która zawsze ogarniała go w tym ciemnym pokoju. Słyszał coraz szybsze bicie swojego serca, aż w końcu musiał zapalić światło i wstać.

*

W swoim apartamencie wysoko nad miastem właściciel hotelu, Alfred Gronevelt, podniósł słuchawkę telefonu. Zadzwoił do kierownika sali

i zapytał, ile wygrał Jordan. Dowiedział się, że Jordan tej nocy rozbił bank. Następnie poprosił operatorkę o znalezienie Xanadu Pięc. Czekał na linii. Goniec potrzebował kilku minut, by przeszukać wszystkie części hotelu i zajrzeć do umysłów graczy. Właściciel leniwie wyglądał przez okno na wijące się jak potężny wąż czerwono-zielone neony Las Vegas Strip. Mrok otaczający pustynne góry więził go tutaj razem z tysiącami hazardzistów, którzy próbowali pokonać kasyno i zdobyć miliony dolarów, bezczelnie spoczywające w kasach. Na przestrzeni lat wielu graczy pozostawiło swoje kości przy tej krzykliwej ulicy.

W końcu usłyszał w słuchawce głos Cully'ego. Cully był Xanadu Pięc. (Gronevelt był Xanadu Jeden).

– Cully, twój kumpel kosztował nas sporo kasy – odezwał się Gronevelt. – Jesteś pewien, że jest w porządku?

– Tak, panie Gronevelt – odpowiedział cicho Cully. – To mój przyjaciel i uczciwy gość. Wszystko zwróci, zanim wyjedzie.

– Zadbaj, żeby niczego mu nie zabrakło. Nie pozwól, żeby włóczył się po mieście i zostawiał nasze pieniądze w innych lokalach. Załatw mu jakąś dziewczynę.

– Bez obaw – odparł Cully, ale Gronevelt usłyszał w jego głosie coś dziwnego.

Przez chwilę o nim rozmyślał. Cully był jego szpiegiem, kontrolował działanie kasyna i donosił o krupierach od blackjacka, którzy wchodzili w konszachty z graczami na szkodę kasyna. Gronevelt miał wobec niego wielkie plany, ale na razie się wahał.

– A co z tym drugim gościem w waszej paczce, Dzieciakiem? – spytał. – O co mu chodzi i po cholerę siedzi tutaj od trzech tygodni?

– To płotka. Ale dobry dzieciak. Niech się pan nie przejmuje, wiem, co mam dla pana zrobić.

– W porządku – rzucił Gronevelt. Kiedy się rozłączył, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Cully nie wiedział, że kierownicy stołów buntowali się przeciwko jego obecności w kasynie, ponieważ był specem od liczenia kart, a kierownik hotelu narzekał, że Merlyn i Jordan blokują pożądane pokoje, a tymczasem w każdy weekend pojawiają

się nowi nadziani gracze. Natomiast nikt nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo Gronevelta zaintrygowała przyjaźń, która połączyła tych trzech mężczyzn. Uznał, że to, jak ta przyjaźń się zakończy, będzie prawdziwym testem dla Cully'ego.

*

W swoim pokoju Jordan walczył z chęcią powrotu do kasyna. Usiadł w jednym z przepastnych foteli i zapalił papierosa. Wszystko było w porządku. Miał przyjaciół, poszczęściło mu się, był wolny. Po prostu czuł się zmęczony. Potrzebował długiego odpoczynku gdzieś daleko.

Przypomniawszy sobie o Cullym, Diane i Merlynie. Uśmiechnął się na myśl, że zostali jego najlepszymi przyjaciółmi.

Sporo o nim wiedzieli. Spędzali razem całe godziny w barze, plotkując i odpoczywając pomiędzy sesjami hazardu. Jordan z pewnością nie był małomówny. Odpowiadał na każde pytanie, chociaż sam żadnych nie zadawał. Dzieciak zawsze pytał o wszystko z taką powagą i szczerym zainteresowaniem, że Jordan nie miał mu tego za złe.

Żeby czymś się zająć, wyjął z szafy walizkę. Pierwszym, co przyciągnęło jego wzrok, był niewielki pistolet, który kupił jeszcze w domu. Nie wspomniawszy o nim przyjaciółm. Żona zostawiła go i zabrała dzieci. Odeszła do innego mężczyzny, a on w pierwszym odruchu postanowił go zabić. Była to reakcja tak obca jego naturze, że wciąż go zdumiewała. Oczywiście niczego takiego nie zrobił. Największym problemem było pozbycie się broni. Najlepiej byłoby ją rozmontować i wyrzucić, kawałek po kawałku. Nie chciał, by wyrządzono nią komuś krzywdę. Na razie odłożył ją na bok, wrzucił do walizki trochę ubrań i ponownie usiadł.

Nie był pewien, czy chce opuścić Vegas i jasno rozświetloną jaskinię kasyna. Czuł się tu jak ryba w wodzie. Był bezpieczny. To, że tak naprawdę nie obchodziły go wygrane i porażki, stanowiło magiczną ochronę przed zakusami losu. A przede wszystkim kasyno chroniło go przed wszystkimi innymi bólami i pułapkami życia.

Znów się uśmiechnął, gdy pomyślał o tym, jak Cully przejmował się swoimi wygranymi. A on? Co miałby zrobić z pieniędzmi? Mógłby najwyżej wysłać je żonie. Była dobrą kobietą i matką, pełną klasy i wewnętrznej siły. Fakt, że odeszła od niego po dwudziestu latach, by wyjść za kochanka, nie mógł tego zmienić. Z perspektywy czasu Jordan rozumiał jej decyzję. Miała prawo szukać szczęścia i żyć pełną piersią. A przy jego boku się dusiła. Nie był złym mężem, po prostu niewystarczająco dobrym dla niej. Nie miał sobie nic do zarzucenia jako ojciec. Wypełniał wszystkie swoje obowiązki. Jego jedyną wadą było to, że po dwudziestu latach żona nie była już przy nim szczęśliwa.

Nowi przyjaciele znali jego historię. Trzy tygodnie, które spędzili razem w Las Vegas, ciągnęły się jak lata, a Jordan czuł, że może z nimi rozmawiać tak szczerze jak z nikim w rodzinnym mieście. Opowiadał o sobie przy drinkach w barze i po nocnych posiłkach w restauracji.

Zdawał sobie sprawę, że mają go za nieczułego. Kiedy Merlyn zapytał, jak często może widywać dzieci, tylko wzruszył ramionami. Zapytany, czy kiedykolwiek będzie mógł się zobaczyć z nimi i z żoną, próbował odpowiedzieć szczerze.

– Nie sędzę. Ale wszystko u nich w porządku.

– A u ciebie? – odparł Merlyn.

Jordan się roześmiał, szczerze rozbawiony tym, jak bardzo Dzieciak się zaangażował.

– U mnie też – odparł, a potem skarcił go za wścibstwo. Popatrzył mu prosto w oczy. – Nic więcej się za tym nie kryje. Jest tak, jak widzisz. To bardzo proste. Ludzie nie są dla siebie aż tak ważni. Tak się dzieje, gdy się starzejesz.

Merlyn popatrzył na niego, a następnie spuścił wzrok.

– Ale nie możesz sypiać w nocy?

– Zgadza się – przyznał Jordan.

– W tym mieście nikt nie sypia – wtrącił Cully zniecierpliwionym tonem. – Weź lekarstwo na sen.

– Mam po nim koszmary – wyjaśnił Jordan.

– Ależ nie, mówiłem o nich. – Cully wskazał trzy prostytutki, które popijały drinki przy stoliku.

Jordan się roześmiał. Wtedy po raz pierwszy usłyszał to określenie i zrozumiał, dlaczego Cully czasami wstawał od stołu i oznajmiał, że musi zażyć lekarstwo na sen.

Tej nocy takie lekarstwo wyjątkowo przydałoby się Jordanowi, ale próbował go w pierwszym tygodniu po przyjeździe do Vegas i wcale nie poczuł się odprężony. Pewnego wieczoru prostytutka, znajoma Cully'ego, namówiła go na „bliźniaczki”, czyli na zabranie ze sobą koleżanki. Za dodatkowe pięć dych miała mu pokazać prawdziwe fajerwerki, bo był miłym gościem. Jordan się zgodził. Poczuci się radośnie i bezpiecznie w otoczeniu kobiecych piersi. Jak małe dziecko. Jedna z dziewczyn przytuliła jego głowę do piersi, podczas gdy druga go ujeżdżała. W chwili szczytowania, gdy całkowicie oddał im swoje ciało, zauważył, jak siedząca na nim dziewczyna posyła figlarny uśmiech towarzysze. Wtedy zrozumiał, że skoro już się go pozbyły, mogą zająć się tym, czego naprawdę pragną. Patrzył, jak dziewczyna, która go dosiadała, pieści ustami drugą z namiętnością, jakiej nie okazywała jemu. Nie był zły. Nie miał nic przeciwko temu, by one też się zabawiły. Wydawało mu się to naturalne. Zapłacił im dodatkowe sto dolarów. Sądziły, że nagrodił je za to, że były takie dobre, lecz tak naprawdę zrobił to z powodu tamtego ukradkowego uśmiechu – tamtej pocieszającej i słodkiej niewierności. W chwili zdradzieckiego szczytowania dziewczyna na oślep chwyciła Jordana za rękę, a on wzruszył się do łez.

Te żywe leki na bezsenność zawsze starały się mu pomóc. Były śmietanką tego kraju. Okazywały mu czułość i trzymały go za rękę, towarzyszyły mu podczas posiłków i artystycznych występów, grały z nim w kasynie i nigdy go nie zdradzały. Dawały mu odczuć, że naprawdę się o niego troszczą, a przy okazji ostro się z nim pieprzyły. A wszystko to za jeden studolarowy żeton, czyli za Pszczółkę, jak mówił Cully. Na Boga, przecież to prawdziwa okazja. Ale Jordan nie miał złudzeń. Chociaż przed odejściem go umyły, niczym chorego

na szpitalnym łóżku, i w odróżnieniu od zwykłych leków na sen nie wywoływały koszmarów, tak naprawdę nie były w stanie go uśpić. Nie wyspał się porządnie od trzech tygodni.

Oparł się znużony o wezłowie łóżka. Nie pamiętał, kiedy wstał z fotela. Powinien zgasić światło i spróbować się przespać, ale wiedział, że wtedy powróci strach. Nie lęki w jego głowie, ale fizyczna panika, z którą bezskutecznie walczył, zastanawiając się rozpaczliwie, co się z nim dzieje. Nie miał wyboru. Musiał wrócić do kasyna. Wrzucił czek do walizki. Zamierzał stawiać tylko gotówkę i żetony.

*

Zebrał wszystko z łóżka i wypchał sobie kieszenie. Wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem do kasyna. O tak wczesnej porze przy stołach siedzieli prawdziwi hazardziści. Podpisali umowy, zjedli kolacje w eleganckich pokojach, zabrali żony na przedstawienie i położyli je spać albo obdarowali żetonami wygranymi w ruletkę, pozbywając się kłopotu. Albo z kimś się przespali, ktoś zrobił im loda lub w inny sposób się nimi zaopiekował. A wszystko po to, by teraz mogli stanąć w szranki z losem. Z pieniędzmi w garści zajęli miejsca przy stołach do gry w kości. Kierownicy stołów czekali, aż graczom skończą się żetony, by wypisać kwit na kolejny tysiąc, dwa albo trzy. W tych godzinach przed świtem ludzie przegrywali całe fortuny, choć nawet nie wiedzieli dlaczego. Jordan popatrzył na drugi koniec kasyna.

*

W eleganckim zakątku otoczonym szarymi barierkami stał długi owalny stół do bakarata. Dostępu pilnował uzbrojony strażnik, ponieważ w bakarata grano głównie na gotówkę, a nie na żetony. Po obu stronach stołu pokrytego zielonym suknem wznosiły się wysokie krzesła. Na nich zasiadali kontrolerzy o sokolim wzroku, którzy nadzorowali pracę krupierów oraz wypłaty; ubrani byli w eleganckie

stroje obowiązujące wszystkich pracowników obsługujących stół do bakarata. Obserwowali każdy ruch trzech krupierów oraz prowadzącego grę. Jordan ruszył w ich stronę i po chwili dostrzegł charakterystyczne sylwetki krupierów w wieczorowych strojach.

Czterej święci pod krawatami śpiewali hymny na cześć zwycięzców i treny o przegranych. Byli przystojni, zręczni i uroczy, prowadzili grę z dużą klasą. Ale zanim Jordan zdążył przejść przez bramkę, stanęli przed nim Cully i Merlyn.

– Został im tylko kwadrans – odezwał się cicho Cully. – Trzymaj się od nich z daleka. – Stół do bakarata zamykał się o trzeciej w nocy.

Nagle jeden ze świętych pod czarnym krawatem zawołał do Jordana:

– Zaczynamy ostatnie rozdanie, panie J.! Bankierskie rozdanie. – Roześmiał się.

Jordan zobaczył na stole stertę kart o niebieskich rewersach, które po chwili zostały zebrane do tasowania.

– A może pójdziecie ze mną? – zaproponował swoim towarzyszom. – Ja wyłożę pieniądze i każdy z nas zrobi najwyższy zakład. – Limit zakładu wynosił dwa tysiące, co oznaczało, że Jordan chciał postawić sześć tysięcy na każde rozdanie.

– Oszalałeś? – oburzył się Cully. – Idź do diabła.

– W takim razie tylko ze mną posiedź. Dam ci dziesięć procent od każdej wygranej.

– Nie – odparł Cully, po czym odszedł i oparł się o balustradę.

– Merlyn, usiądziesz ze mną? – spytał Jordan.

– Jasne, że usiądę – odrzekł Dzieciak z uśmiechem.

– Dostaniesz dziesięć procent.

– Dobra.

Przeszli przez bramkę i usiedli. Diane przygotowała świeży zestaw potasowanych kart, a Jordan zajął miejsce obok niej, dzięki czemu miał być następny w kolejce. Diane nachyliła się w jego stronę.

– Jordy, nie graj już dzisiaj – poprosiła.

Nie postawił na nią, gdy wykladała niebieskie karty na stół. Przegrała dwadzieścia dolarów z funduszy kasyna i przekazała mu zasobnik z kartami.

Jordan był zajęty opróżnianiem kieszeni marynarki. Żetony, czarne i zielone, studolarowe banknoty. Ułożył stertę banknotów przed krzesłem numer sześć, na którym zasiadał Merlyn. Potem wziął karty i umieścił dwadzieścia czarnych żetonów na polu bankiera.

– Ty też – powiedział do Merlyna, a ten odliczył dwadzieścia studolarowych banknotów z leżącej przed nim sterty i dołączył je do zakładu Jordana.

Krupier podniósł dłoń, by wstrzymać rozdawanie kart przez Jordana. Rozejrzał się wokół stołu, sprawdzając, czy wszyscy już zrobili zakłady. Potem zachęcająco opuścił dłoń i zawołał do Jordana:

– Karta dla gracza!

Jordan wyłożył karty na stół. Jedną dla krupiera, jedną dla siebie. Potem kolejną dla krupiera i kolejną dla siebie. Krupier rozejrzał się, a następnie rzucił swoje dwie karty mężczyźnie, który postawił największą sumę na gracza. Mężczyzna ostrożnie zerknął na karty, uśmiechnął się i je odwrócił. Miał naturalną dziewiątkę. Jordan odwrócił swoje karty, nawet na nie nie patrząc. Trafiły mu się dwie figury. Zero. Przegrał. Przekazał zasobnik z kartami Merlynowi, a ten podał go następnemu graczowi. Jordan przez chwilę miał ochotę go powstrzymać, ale nie zrobił tego, gdy zobaczył minę Merlyna. Żaden z nich się nie odezwał.

Złocisto-brązowe pudełko powoli krążyło wokół stołu, wyrzucając karty. Wygrał bank. Potem gracz. Cały czas wygrywali na zmianę. Jordan naciskał na krupiera i przegrał już dziesięć tysięcy z własnych pieniędzy. Merlyn nadal nie obstawiał. W końcu zasobnik ponownie trafił do Jordana.

Jordan postawił dwa tysiące dolarów, równo z limitem. Sięgnął po pieniądze Merlyna, zgarnął plik banknotów i wrzucił je do przegródki krupiera. Zauważył, że nie ma już przy nim Diane. Był

gotowy. Poczul potężny przypływ mocy, jakby był w stanie przywołać na stół dowolne karty.

Spokojnie i bez emocji wygrał kolejne dwadzieścia cztery rozdania. Po ósmym przy barierce zebrał się już spory tłum, a każdy hazardzista przy stole próbował szczęścia i stawiał na bank. Po dziesiątym rozdaniu krupier sięgnął po specjalne pięćsetdolarowe żetony. Miały piękny kremowo-biały kolor i złote paski.

Cully stał przy barierce i bacznie się przyglądał. Towarzyszyła mu Diane. Jordan dyskretnie do nich pomachał. Po raz pierwszy czuł się podekscytowany. Po drugiej stronie stołu jakiś gracz z Południa zawołał „Maestro!”, kiedy Jordan wygrał trzynaste rozdanie. A potem przy stole zapadła osobliwa cisza.

Bez wysiłku wyciągał karty z zasobnika, jego dłonie poruszały się niezwykle płynnie. Żadna z kart nie zaczepiała się ani nie ślizgała, gdy wysuwał je z drewnianego pudełka. Ani razu przypadkowo nie pokazał ich białego awersu. Swoje karty także odwracał miarowo i bez patrzenia, pozwalając krupierowi ogłaszać wyniki i trafienia. Kiedy krupier obwieszczał „karta dla gracza”, Jordan wyciągał ją swobodnie i bez żadnych emocji. Podobnie w wypadku „karty dla banku”. W końcu podczas dwudziestego piątego rozdania przegrał na rzecz gracza, którego reprezentował krupier, ponieważ wszyscy obstawiali bank.

Jordan przekazał zasobnik Merlynowi, a ten nie przyjął go, tylko przekazał dalej. Przed Merlynem także piętrzyły się sterty złotych pięćsetdolarowych żetonów. Jako że wygrali z bankiem, musieli zapłacić pięcioprocentową prowizję. Krupier policzył wysokość prowizji dla poszczególnych miejsc. Wyniosła ponad pięć tysięcy dolarów, co oznaczało, że Jordan wygrał za jednym posiedzeniem sto tysięcy. Pozostali gracze przy stole się wycofali.

Obaj kontrolerzy już przekazywali telefonicznie złe wieści kierownikowi kasyna i właścicielowi hotelu. Pechowy wieczór przy stole do bakarata był poważnym zagrożeniem dla zarobków kasyna. W dłuższej perspektywie nie miało to większego znaczenia, ale zwracano baczna uwagę na takie klęski. Gronevelt osobiście pofatygował

się ze swojego apartamentu i cicho zbliżył się do stołu. Stał obok kierownika sali i obserwował. Jordan dostrzegł go kątem oka i rozpoznał; Merlyn któregoś dnia mu o nim opowiedział.

Zasobnik okrążył stół, pozostając w rękach banku. Jordan trochę zarobił i w końcu znów przysła jego kolej.

Tym razem bez najmniejszego wysiłku, poruszając dłońmi z niezwykłą gracją, spełnił marzenie każdego gracza w bakarata i opróżnił zasobnik. Nie pozostała w nim ani jedna karta, a Jordan miał przed sobą stertę biało-złotych żetonów.

– Panie Jordan, może pan usiądzie tutaj, a my wystawimy czek na pańską wygraną? – zaproponował kierownik stołu.

Jordan wepchnął potężny plik studolarówek do kieszeni marynarki, a następnie wypełnił je czarnymi studolarowymi żetonami, pozostawiając na stole niezliczone pięćsetdolarowe białe-żółte krążki.

– Może je pan dla mnie policzyć – zwrócił się do kierownika stołu. Potem wstał, żeby rozprostować nogi. – Przygotuje pan kolejny but? – spytał swobodnie.

Mężczyzna zawahał się i popatrzył pytająco na kierownika kasyna. Ten pokręcił głową. Uznawał Jordana za niepoprawnego hazardzistę, który pozostanie w Vegas, dopóki się nie splucze. Ale dziś Jordan był na fali, więc dlaczego ułatwiać mu zadanie? Jutro karty inaczej się ułożą. Szczęście wreszcie się wyczerpie, a wtedy jego koniec będzie szybki. Kierownik już nie raz to widział. Kasyno nie było ograniczone czasem i statystycznie każdego wieczoru miało większą szansę na wygraną.

– Proszę zamknąć stół.

Jordan skłonił głowę, a następnie zwrócił się do Merlyna.

– Dostaniesz dziesięć procent wygranej – rzucił, ale ku jego zaskoczeniu Dzieciak popatrzył na niego niemal ze smutkiem i odmówił.

Krupierzy liczyli złote żetony Jordana i układali je w równe kupki, aby kierownicy mogli kontrolować proces. Wreszcie skończyli i kierownik stołu odezwał się z namaszczeniem:

– Ma pan dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, panie J. Wy-pisać czek na całość?

Jordan pokiwał głową. W kieszeniach miał pełno żetonów i bank-notów. Nie chciał ich oddać.

Inni gracze odeszli od stołu po tym, jak kierownik kasyna za-powiedział zakończenie gry. Ale kierownik stołu wciąż rozmawiał o czymś szeptem. Cully przeszedł za barierkę i stanął obok Jordana i Merlyna. W identycznych sportowych marynarkach wyglądali jak członkowie ulicznego gangu.

Jordan był zbyt zmęczony, by oddać się fizycznie wymagającej grze w kości czy ruletkę, a blackjack przynosił za małe zyski z powodu pięćsetdolarowego limitu.

– Wystarczy na dzisiaj – oznajmił Cully. – Jezu, nigdy czegoś takiego nie widziałem. Teraz może być już tylko gorzej. Nie da się tak długo mieć farta.

Jordan przytaknął.

Ochroniarz zabrał tace z żetonami Jordana oraz kwity wypisane przez kierownika stołu i zaniósł je do kasy. Diane podeszła do Jorda-na i pocałowała go. Wszyscy byli niezwykle podnieceni. Jordan czuł się szczęśliwy. Naprawdę został bohaterem i nie musiał w tym celu nikogo zabić ani skrzywdzić. Przyszło mu to tak łatwo. Wystarczyło stawiać duże pieniądze na odkrywane karty. No i wygrać.

Musieli zaczekać, aż kasjer wystawi czek.

– Jesteś bogaty, możesz zrobić, co tylko zechcesz – odezwał się Merlyn kpiąco.

– Musi wyjechać z Vegas – stwierdził Cully.

Diane ścisnęła dłoń Jordana, ale on wpatrywał się w Gronevelta stojącego obok kierownika kasyna i dwóch kontrolerów, którzy zeszli z wysokich siedzisk. Czterej mężczyźni naradzali się szeptem.

– Xanadu Jeden, może zagramy partyjkę?

Gronevelt odsunął się od pozostałych i jego twarz nagle znalazła się w pełnym świetle. Jordan dostrzegł, że ten człowiek jest starszy, niż mu się wydawało. Może około siedemdziesiątki, chociaż był rumiany

i wyglądał zdrowo. Miał twarz opaloną na czerwono i solidną posturę, której nie naruszył upływ czasu. Ledwie zareagował na to, że Jordan użył jego telefonicznego kryptonimu.

Uśmiechnął się bez złości, ale coś się w nim odezwało na to wyzwanie i przywołało czasy młodości, gdy sam był niepoprawnym hazardzistą. Obecnie żył w bezpiecznym świecie i panował nad swoim życiem, w którym co prawda nie brakowało przyjemności, obowiązków, a także ryzyka, ale rzadko zdarzały się prawdziwe szaleństwa. Byłoby miło ponownie czegoś takiego zasmakować, a poza tym chciał sprawdzić, jak daleko posunie się Jordan i co tak naprawdę nim powoduje.

– Za chwilę dostanie pan z kasy czek na dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy, tak? – zagadnął cicho.

Jordan pokiwał głową.

– Poproszę, żeby przygotowali zasobnik – rzekł Gronevelt. – Zagramy tylko jedno rozdanie. Zwycięzca bierze wszystko. Ale musi pan postawić na gracza, nie na bank.

Wszyscy oniemieli. Krupierzy popatrzyli na Gronevelta z niedowierzaniem. Nie tylko mógł przegrać olbrzymią sumę, wbrew wszelkim zasadom kasyna, ale także ryzykował utratę licencji, gdyby stano-wa Komisja ds. Hazardu dowiedziała się o tym zakładzie. Gronevelt uśmiechnął się do nich.

– Potasujcie karty – polecił. – Przygotujcie zasobnik.

W tej samej chwili podszedł kierownik stołu i wręczył Jordanowi żółty podłużny kawałek papieru o ząbkowanych brzegach – jego czek. Jordan rzucił na niego okiem, a następnie położył go w przegródce gracza i uśmiechnął się do Gronevelta.

– Umowa stoi.

Merlyn wycofał się, oparł o szarą balustradę i uważnie obserwował Jordana. Oszołomiona Diane zrobiła kilka kroków w bok. Jordana ucieszyła ich reakcja. Nie podobało mu się jedynie, że musi samemu wyłożyć karty na stół. Zwrócił się do Cully'ego.

– Cully, rozdaj za mnie – poprosił.

Jego kompan aż skulił się ze strachu, a następnie zerknął na krupiera; ten wysypał karty z pojemnika pod stołem i przygotowywał je do tasowania. Cully zadrżał i odwrócił się w stronę Jordana.

– Jordy, to frajerski zakład – rzucił cicho, jakby nie chciał, by ktokolwiek go usłyszał. Zerknął ukradkiem na Gronevelta, który wbił w niego wzrok. – Posłuchaj, bank zawsze ma o dwa i pół procenta większą szansę na wygraną. W każdym rozdaniu. Właśnie dlatego ci, co na niego stawiają, muszą zapłacić pięć procent prowizji. Ale teraz to kasyno stawia na bank. W takim zakładzie prowizja nic nie znaczy. Lepiej mieć dwuipółprocentową przewagę. Rozumiesz to, Jordy? – Cully mówił spokojnie, jakby tłumaczył coś dziecku.

Ale Jordan się roześmiał.

– Wiem o tym. – Miał ochotę powiedzieć, że właśnie na to liczy, tylko że to nie była prawda. – Proszę cię, Cully, rozdaj za mnie karty. Nie chcę grać przeciwko swojemu szczęściu.

Krupier potasował kilka talii kart i połączył je w jeden gruby plik. Potem podsunął Jordanowi żółtą plastikową kartę. Jordan popatrzył na Cully'ego, ale ten cofnął się bez słowa, więc sam przeciął talię. Wszyscy zbliżyli się do krawędzi stołu. Hazardziści z innych części sali zobaczyli nowy zasobnik i próbowali dołączyć do gry, ale ochroniarz im nie pozwolił. Zaczęli protestować, lecz nagle umilkli. Zebrali się za balustradą. Krupier odwrócił pierwszą kartę wysuniętą z zasobnika. To była siódemka. Wyłożył kolejne siedem kart i schował je w przegródce. Potem pchnął zasobnik w stronę Jordana, który usiadł na swoim krześle.

– Tylko jedno rozdanie – odezwał się Gronevelt.

Krupier podniósł rękę i odezwał się ostrożnie:

– Panie J., stawia pan na gracza, czy to jasne? Obstawia pan kartę, którą zaraz odkryję, przeciwko karcie banku, którą zaraz sam pan wyłoży na stół.

Jordan się uśmiechnął.

– Rozumiem.

Krupier zawahał się.

– Jeśli pan woli, mogę wyłożyć karty z zasobnika.

– Nie – odparł Jordan. – Nie trzeba. – Był naprawdę podniecony. Nie tylko dzięki pieniądзом, ale także mocy, która wypływała z niego i obejmowała wszystkich ludzi oraz kasyno.

Krupier uniósł dłoni.

– Jedna karta dla mnie, jedna dla pana. Potem kolejna karta dla mnie i kolejna dla pana. Proszę. – Dla efektu zawiesił głos i podniósł rękę. – Karta dla gracza.

Jordan sprawnie i bez wysiłku wysunął karty o niebieskich koszulkach z zasobnika z przegrodami. Zrobił to z niezwykłą gracją i bez najmniejszego wahania. Karty pokonały identyczną odległość po zielonym filcu, zmierzając do rąk krupiera, a ten szybko je odwrócił i osłupiał, popatrzył na zwycięską dziewiątkę. Jordan nie był w stanie przegrać.

– Naturalna dziewiątka! – ryknął Cully za jego plecami.

Jordan po raz pierwszy spojrzał na swoje karty przed ich odwróceniem. Grał w imieniu Gronevelta, więc miał nadzieję, że przegra. Uśmiechnął się i odwrócił karty banku.

– Naturalna dziewiątka – oznajmił i miał rację. Rozdanie zakończyło się remisem. Jordan się roześmiał. – Mam za dużo szczęścia.

Podniósł wzrok na Gronevelta.

– Jeszcze raz? – spytał.

Gronevelt pokręcił głową.

– Nie – rzucił, po czym zwrócił się do krupiera, kierownika stołu i kontrolerów: – Zamknijcie stół. – Następnie się oddalił. Lubiał ryzyko, ale wiedział, że nie należy przesadzać. Emocje trzeba dawkować. Jutro będzie musiał wytłumaczyć się z tego nietypowego zakładu przed komisją. A następnego dnia odbędzie długą rozmowę z Cullym. Może mylił się co do niego.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).